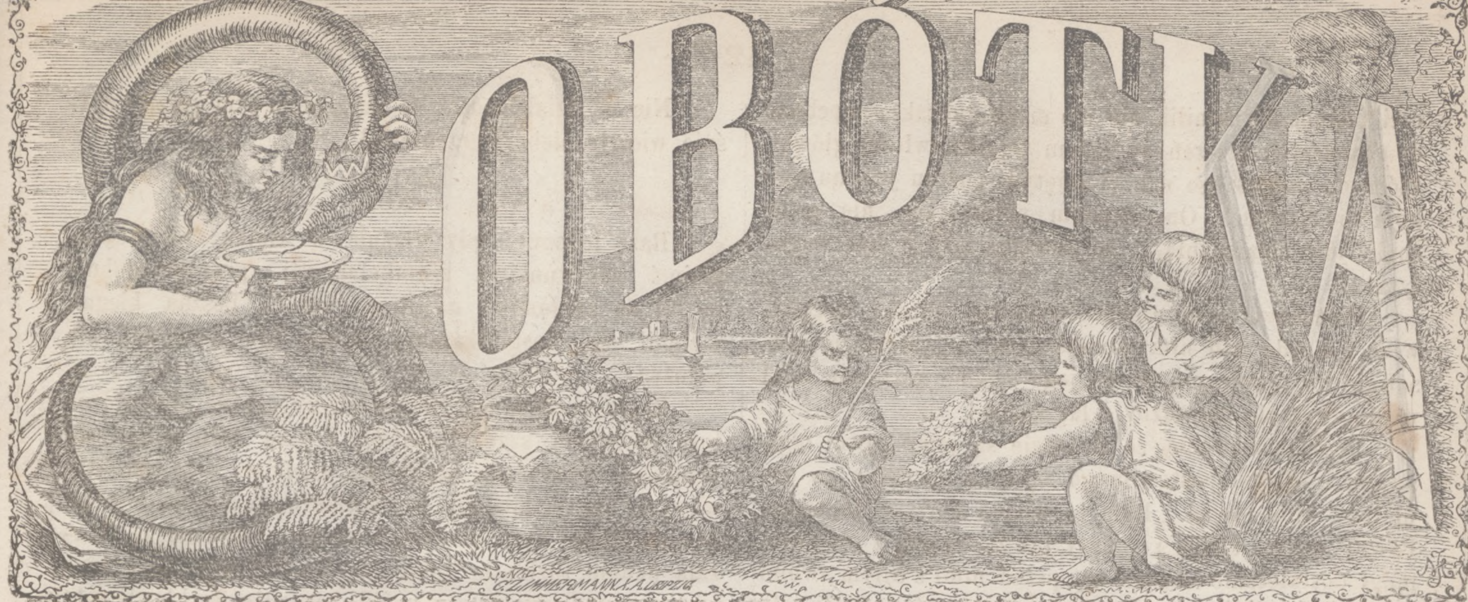



**TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.**

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

**№. 6. Poznań, dnia 5 lutego 1870. Rok II.**

# Milion na poddaszu.

## Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

**Jana Zacharjasiewicza.**

(Dalszy ciąg.)

X.

Tak odbyła się instalacya nowego lokatora.

Zdaje się, że tylko szambelanowa była z niego mocno zadowolona. Kazała mu nawet dodać jeszcze nieco rupieci do pokoiku, aby mu tam było dobrze i wygodnie. Sama nawet własną ręką postawiła mu drugą szklankę na stole.

Panna Elżbieta nie sprzyjała wiele lokatorowi. U niéj miał tylko walor człowiek, który już zdobył sobie pewne stanowisko, był radzcą albo przynajmniéj emerytem. Wysługujący się dopiero aplikant, biedny rozbitek lepszych nadziei, dążący pracą do kawałka chleba i służby korzystnéj dla kraju, byli u niéj niczem. Tamten był u niéj już człowiekiem gotowym, którego nawet jakoś zatytułować można było, a ten dopiero materyałem do czegoś, czego nazwać nie można!

Terenia, osobliwie gdy do zwierciadła spojrzała, myślała nader rozsądnie. Dziwiła się, jak mogła marzyć, że do ubogiego pokoiku na poddasze mógłby inny człowiek przyjść, jak biedny jakiś aplikant! Dziwiła się, jak mogła nawet przypuszczać, że tu za ścianą wapnem pobieloną może się ulokować ktoś, który miałby stanowić obfity materyał do jéj marzeń sekretnych?... Ludzie wchodzący do jéj marzeń wyglądali zawsze inaczéj. Otaczała ich jakaś inna atmosfera, niżeli zimny oddech ubóstwa i mozolnéj pracy!...

Powoli przyzwyczajała się do lokatora jak do zwykłego sąsiada, z którym przypadek ją zapoznał. A poza tym lokatorem uprządła nową siatkę złotych marzeń, do któréj nawet często w jego obecności zaglądała!

Lokator jednak myślał sobie wcale inaczéj. Zaraz pierwszéj nocy długo nie mógł usnąć. Jasna główka o złotych loczkach kręciła się przed nim nieustannie. Zaglądała mu w oczy, bawiła się jego kołnierzem, śmiała się i uciekała, aby znowu przyjść do niego. Wprawdzie w czasie jego służby obozowéj widział wiele podobnych główek jasnych i ciemnych, a nawet czasami także go prześladowały. Ale przecież nie były tak uporczywe, odeszły jeżeli tego koniecznie zapragnął! Dziś jednak i pragnąć nie mógł, aby te złote kędziorki od niego odeszły, a nie było znowu sposobu, jakby je przy sobie na zawsze utrzymać.

Zaraz w pierwszym tygodniu przekonał się, że to byli ludzie zacni i poczciwi, ale ubodzy. Tytuł szambelanowéj wcale się temu nie sprzeciwiał. Były to bowiem czasy przewrotu wszelkich dawnych stósunków społecznych. Tramy i słupy które dźwigały zeszłowieczną budowę, leżały teraz bezczynnie i próchniały. Wiele rodów znakomitych w dziejach podupadło i zbiedniało, a tylko męty najczęściéj dostały się na wierzch!

Nieraz wydarzyło się Bernardowi, że dawnych dygnitarzy, weteranów armii, widział teraz mieszkających na ubogich poddaszach, zagryzających suchy kawałek chleba. Nieraz nawet i on jadł z nimi ten chleb suchy...

To też nie dziwiło go wcale, że i szambelanowa była teraz ubogą. Słyszał, że św. pamięci szambelan hulał sobie za dobrych czasów i przehulał nie tylko swoją, ale i żony fortunę. Terenia była sierotą i także nie miała fortuny.

Jakkolwiek to wszystko bynajmniéj nie ujmowało

czci podupadłéj familii, ale nie mogło go także popchnąć do śmielszych marzeń względem téj złotowłoséj główki, która od pierwszego snu w najętym pokoju już mu spokoju nie dawała! On biednym aplikantem, nie mógł żonie dać utrzymania... co innego, gdyby był bogatym!...

Postanowił więc czekać cierpliwie, dopóki szczęśliwsza gwiazda nad nim nie zaświeci, a tymczasem stósownie do rozwieszonych na jego ścianie kartonów miał wysługiwać się chociażby i lat siedm!

Przedświadczenie, że ci ludzie są jemu równi ubóstwem i losami, postawiło go zaraz z początku na poufałéj z nimi stopie. Była to wielka korzyść dla niego. Pewny zawsze siebie i śmiały jak zazwyczaj z równymi, mógł dostatecznie odsłonić się przed nimi z całym swoim charakterem. Nie potrzebował odgrywać żadnéj roli, tylko był zawsze samym sobą, jakim go Bóg stworzył i generał Kwaśniewski trochę podchował.

To téż szambelanowa bez wszelkiéj ogródki mawiała do niego prawie co dzień:

— A nie zapomnij waćpan, jak będziesz wracał z biura, przynieść w kieszeni cztery ładne bułeczki!

Bułeczki te znakomicie duże i białe, sprzedawały się tylko w jednym sklepiku przy ulicy Senatorskiéj. Bernard przynosił je codziennie w kieszeni, które wielkim były specyałem dla Tereni.

Nieraz nawet dostawał Bernard daleko ważniejsze zlecenia.

— Waseńdzi Bernardzie! mawiała do niego szambelanowa w niedziele i czwartki, Annuśka to dziewczyna nieporządna. Znowu nie przyniosła łoju od nerek do kałdonów! Weźno waćpan czapkę i przynieś łoju! Tylko uważaj, żeby ci rzeźnik dobrze naważył, bo ci ludzie, jak obaczą kogoś z waszecia, to już myślą, że jest głupi!

Przyzwyczajony do obozowego życia Bernard, bynajmniéj nie uchylał się od takiego zlecenia, tylko wypełniał je z taką skrupulatnością, że szambelanowa postanowiła Annuśce nigdy nie dawać na łój pieniędzy.

Co Terenia o tém wszystkiem myślała? trudno wiedzieć. Było jéj jakoś nie źle z nowym lokatorem. Miała do kogo słowo przemówić, usłyszała często od niego coś, o czém jeszcze nie wiedziała, wprawiała się w francuzczyznę — za to grywała mu czasem na klawikorcie, albo rysowała jego karykaturę, gdy z łojem wraca do domu...

Po za tém jednak — zdaje się — nic więcéj nie było!

Bernard nawet na razie niczego więcéj nie żądał. Wolno mu było przecież wpatrywać się w te złotowłosą główkę z czarnemi oczkami, wolno mu było słuchać tego pieszczonego głosiku, który stokroć był przyjemniejszy i słodszy od klawikordu... i czegóż było mu dzisiaj więcéj potrzeba? Wszystko to bowiem, co do zupełnego jego szczęścia potrzebném jeszcze było, odkładał do téj chwili, w któréj z dekretem na parę tysięcy pensyi będzie mógł śmiało wejść na poddasze, uklęknąć przed babunią i poprosić o tę drobniutką rączkę, która tyle razy jego poczciwą twarz tak potwornemi kreskami na papierze zelżyła!...

Nie wiedział biedak, że marzeniom tym groziło właśnie wielkie niebezpieczeństwo!

XI.

Razu jednego, gdy właśnie w wielką śnieżnicę za jakimś sprawunkiem szambelanowéj (prawdopodobnie po łój do kałdunów) na drugi koniec Leszna biegał, zaziębił się, dostał kaszlu i kazano mu do łóżka się położyć.

Zrazu cieszyła go macierzyńska prawie pieczołowitość poczciwéj szambelanowéj, z jaką koło niego się krzątała. Przynosiła mu ziółka, siedziała przy nim cały wieczór, opowiadała mu o generale wuju Kwaśniewskim. Terenia także była dla niego bardzo przyjacielską. Kazała pannie Elżbiecie kilka razy dowiadywać się o jego zdrowie. A gdy się zmierzchło, usiadła do klawikordu i grała najsmutniejsze melodye, które przez szpary we drzwiach w całości dostawały się do jego ucha. Zanuciła nawet jakąś rzewną piosenkę półgłosem, czego dawniéj nie bywało!

Bernard podziękował Bogu, że go raczył nabawić chorobą, bo w téj chorobie było mu tak dobrze, tak błogo!... W nocy miał sny wprawdzie trochę gorączkowe, ale były tak słodkie, tak boskie, że radby taką gorączkę mieć do końca życia! Śnił bowiem o złotowłoséj głowie, która tym razem była smutna i miała niby łzy w oczkach...

Nazajutrz niepodobna było iść do bióra. Nawet sama szambelanowa kazała mu w łóżku zostać.

Do godziny dziewiątéj szło wszystko zwykłym, znajomym mu porządkiem. Przed śniadaniem były modły i pieśń pobożna. Po śniadaniu jednak nastąpiły rzeczy, które go mocno zdziwiły, a których on, idąc do biura nigdy nie widział! Dla czego z tego wszystkiego robiono przed nim tajemnicę?

Z uderzeniem dziewiątéj godziny przyszedł na poddasze jakiś jegomość w skrzypiących butach. Bernard słyszał przez drzwi, jak się witał, jak potem dobywał chustkę do nosa, która szeleściała jak jedwabna... witał się z Terenią bardzo poufale, żartował, śmiał się, napomknął, że choć codziennie tu bywa, to przecież...

Więcéj nie dosłyszał Bernard. Przed oczami zrobiło mu się czarno, gorączkowe usposobienie przyczyniło się do tego, że coraz jaskrawsze obrazy stawały przed nim tych dziwnych, jemu nieznanych odwiedzin...

W przyległych pokojach ustała żywa, wesoła rozmowa. Nastąpiła jakaś straszna, nieodgadniona cisza.

Czasami tylko przecisnęło się przez szpary drzwi jakieś pojedyńcze, niezrozumiałe słowo. Czasem wyrzekł je nieznajomy mężczyzna, czasem zdawało się wychodzić z pięknych ustek Tereni...

Cisza ta złowroga trwała całą godzinę! Dla Bernarda była to wieczność!

Rozgorączkowana wyobraźnia chorego potworzyła w téj godzinie tyle najdziwniejszych obrazów, że musiała w końcu upaść na siłach i sprawić powszechne odrętwienie... Był to pierwszy, oczywisty dowód, jak wielce kochał Terenię! Dotąd takiego dowodu nawet sam dla siebie nie miał!...

Następna godzina miała mu nieco tę rzecz wyja-

śnić. Jegomość z jedwabną chustką do nosa i o skrzypiących butach pożegnał się i odszedł, a tuż za nim wszedł do pokoju drugi, który długi czas szeroko po podłodze suwał nogami, jak to zwykle po salonach bywa. Przyniósł także z sobą tak odznaczającą atmosferę, złożoną z tysiącznych pachnideł, że część téj atmosfery nawet przez szpary drzwi przedarła się do pokoiku Bernarda.

Drugi jegomość już bardzo mało mówił, tylko otworzył klawikord i rozpoczął grać razem z Terenią.

Po różnych słowach i uwagach poznał Bernard, że to był nauczyciel muzyki. Z tego wnosząc, zaczął powoli wierzyć, że pierwszy był nauczycielem rysunków. Przypominał nawet sobie, że słyszał suwanie ołówka po papierze...

Odetchnął pełną piersią i ukląkł na łóżku pod krycyfiksem, który rączka Tereni zawiesiła... aby podziękować panu Bogu za wybawienie go od tak wielkiego niebezpieczeństwa, które mu zagrażało! Oraz błagał w duchu Terenię, aby porywczości jego przebaczyła, która tylko była dowodem, że ją tak kocha, jak sam o tém nie wiedział!

Spokojny i szczęśliwy słuchał daléj lekcyi muzyki. Po pachnącym muzyku przyszedł znowu jakiś stary, przez nos mówiący jegomość, który coś z książki zaczął czytać i wyraźnie z nosowéj wymowy na profesora zakrawał.

Było to coś o dziejach polskich, o literaturze, o sztuce, a nawiasem o dobrym stylu i pisowni.

Wreszcie skończył profesor polskiego, zamknął książkę, pożegnał się — do jutra!

Bernard położył znowu głowę na poduszkę i zaczął to wszystko w myśli rozbierać.

Chwilowe uspokojenie zaczęło go znowu opuszczać. Czy to był zwykły skutek gorączki, która go trapiła, czy insze głębsze powody budziły ten niepokój w jego umyśle, trudno wiedzieć!

Jakkolwiek pierwsze, jaskrawe podejrzenia zupełnie nie znikły, podniosły się natychmiast niektóre wątpliwości, na które nie mógł w żaden sposób dostatecznie sobie odpowiedzieć. Ta niemoc dręczyła go najbardziéj.

Najprzód nie mówiono mu nigdy o tém, że tutaj codziennie chodzą nauczyciele. Zdawało mu się bowiem, że z tą rodziną stanął już na tak poufałéj stopie, że żadnych tajemnic przed nim nie miano.

Dla czegoż więc robiono z tego wszystkiego przed nim tajemnicę? Dla czego zostawiono go na uboczu familijnych planów jakichś, w które on bynajmniéj nie wchodził? A przecież jemu zdawało się, że on powinien był już zająć także pewne miejsce w tych planach familijnych! Przecież był już prawie członkiem rodziny!... A to, z czego niby tajemnicę przed nim robiono, mogłoby tylko tém więcéj przywiązać go do nich, tém więcéj uszczęśliwić!...

Powtóre przy widoczném i z pewną ostentacyą wypowiadaném zawsze ubóstwie lekcye podobne są bardzo znacznym wydatkiem! Cóż znaczy ten kontrast takich wydatków i ubóstwa? Coś się pod nim ukrywa?...

Bernardowi znowu pociemniało przed oczyma, bo znowu przyszły na myśl dawne podejrzenia!...

Przyszło mu na myśl, że w tém wszystkiém może się ukrywać jakaś niekorzystna dla niego tajemnica. Ludzie, którzy przez zubożenie ze sfery wielkiego świata wychodzą, nie przebierają zazwyczaj w środkach, aby dalszą egzystencyą swoją zabezpieczyć. Znając słabości i nawyczki tego świata, nie wahają się służyć im, by tylko z tego jaką korzyść dla siebie odnieść!

Być może, że zubożała szambelanowa wyszukawszy tę piękną dziewczynę, wzięła ją w swoją opiekę, aby ją należycie wykształcić dla jakiego wielkoświatowego sybaryty?... A przypuszczając, że zamiary szambelanowéj były uczciwe, czyż nie było to oczywistém, że kształcąc wnuczkę swoją, ma tajemne plany wydania jéj za jakiego bogatego męża? A że biedny lokator w te plany nie wchodził, było rzeczą namacalną, bo przed nim o téj wyższéj edukacyi nigdy nic nie mówiono!... A może rzeczy jeszcze daleko gorzéj stały... ale o tém już lękał się myśleć biedny Bernard!

Tylko gorżko, bardzo gorżko rozśmiał się. Śmiał się z siebie, że podobne idealne marzenia mógł sobie roić przez kilka tygodni, nie mając do tego należytego gruntu. Tymczasem marzenia szambelanowéj i Tereni były prawdopodobnie bardzo daleko od niego! On nie tylko bułki w kieszeni nosił w braku innego służącego, targował się z rzeźnikiem o łój do kałdonów w zastępstwie kucharki!.. Czyż to nie było szaleństwem z jego strony przy tych bułkach i łoju przypuszczać sobie coś podobnego do głowy? Czyż Terenia okazała mu dotąd jaką inną życzliwość, jaką się zazwyczaj okazuje dla codziennych, powszednich znajomych, z którymi przypadek nas łączy?...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

## Helena z Leśniowolskich Stadnicka.

### Nieznana poetka z czasów Zygmunta III.

Za najświetniejszych czasów literatury naszéj, w okresie ostatnich Jagiellończyków, pojawia się pierwsza polska poetka Zofia Oleśnicka z Pieskowéj Skały, która składa pieśń pobożną i ogłasza ją drukiem wraz z nutami do śpiewu w Krakowie 1556 roku. Słowa jak i melodya pełne prostoty i rzewności.

Po niéj długa przerwa, którą zapełnia nieznana dotąd poetka Helena z Leśniowolskich Stadnicka. Ślad jéj znaleźliśmy w jednym z rękopismów będących niegdyś własnością Tomasza Święckiego, autora Opisu starożytnéj Polski. W kroju arkuszowym ma na czele wycisk herbu Stadnickich Szreniawy. (Na tarczy ręka z krzyżem, nad hełmem łeb lwa z gęstą grzywą pomiędzy dwoma myśliwskiemi trąbkami, u każdéj wiszą po cztery dzwonki; po boku litery S. S. K. P. oznaczają: „Stanisław Stadnicki, Kasztelan Przemyśla.) Cały rękopism obejmuje papieru 38 arkuszy, ale mało kart jest zapisanych. Na początku w czterech arkuszach mieści się rodowód Stadnickich; daléj po znacznéj przerwie opis rokoszu Zebrzydowskiego i bitwy pod Guzowem. Następnie przepisy rolnicze i dotyczące apteczki domowéj; na trzecim przedostatnim arkuszu czytamy: „List J. M. P. Stadnickiéj z Obór, Kasztelanowéj Przemyślskiéj, pod Smoleńsk wy-

słany do męża R. P. 1611." Poniżéj następuje list cały własną ręką autorki naszéj napisany, jak objaśnia na końcu dodany przypisek, odmiennym pismem: „Ten list własną ręką J M P. Heleny Stadnickiéj Kasztelanowéj Przemyślskiéj tu napisan. M. B."

Stanisław Stadnicki, ze słynnego rodu, w czasach Zygmunta III wystąpił w zawód spraw publicznych. Pan pobożny i hojny, wspierał zarówno zakony, jak nie żałował szkatuły na potrzeby Rzeczypospolitéj. Konstytucya z roku 1593, zapisując wdzięczność narodową, poleca zwrócić mu wydane sumy, jakie zaliczył w ubóstwie publicznego skarbu. W młodzieńczych latach zasiadł w senacie i świetną odznaczył się wymową, zarówno jak na polu bitwy nieustraszoném męstwem. Kiedy wybuchł rokosz Zebrzydowskiego, wraz z bratem swoim Adamem stanął po stronie króla Zygmunta III.

Wrzały umysły obu stronnictw nienawiścią wzajemną, a zemstę krwią tylko gaszono przeciwników. Tajne są nam powody, które pobudziły Stanisława Stadnickiego, że napadł na Tomasza Jana Drohojowskiego, starostę przemyślskiego, który z zebraną garstką zbrojnych starał się opór postawić. W stoczonéj bitwie Stadnicki sam uderza na sędziwego starca i kopią uderzywszy go w piersi, zabija. Szczęsny Herburt mszcząc się śmierci Drohojowskiego, wuja swego, a pałając nadto niepohamowanym gniewem, że bronił Zygmunta III, kiedy on wspierał całemi siłami stronę Zebrzydowskiego, wojewody krakowskiego, robi nań zasadzkę i gdy wraca Stadnicki z pod Janowca, gdzie wojska rokoszanów, w których Herburt po części dowodził, porażone zostały, napada nań we wsi Chotyńcu o trzy mile od Przemyśla, chwyta do niewoli i uwozi do Lwowa, aby tam wywarł na nim zemstę swoją. — Na wiadomość o tém zdarzeniu, brat Stanisława, Adam Stadnicki, kasztelan kaliski, z licznym zastępem zbrojnych pospiesza na odsiecz i staje pod murami Lwowa. Rozpoczyna za pośrednictwem Zamojskiego, arcybiskupa lwowskiego, umowę z Herburtem o uwolnienie brata, ten zaś wiedząc o tak bliskiéj odsieczy, przy pomocy wiernych przyjaciół, wymyka się z więzienia i dostaje się szczęśliwie do obozu Adama. Herburt zawrzał zemstą i pragnieniem odwetu, powiększa swoje chorągwie, otacza niespodzianie zamek przemyślski, gdzie obaj bracia bawili i uderza. Ale znajduje niespodzianie przyjęcie, szturm odparto i pochwycono samego Herburta. Ten musiał przyjąć podane warunki zgody i takowe zaprzysiądz. — Po uciszeniu swarów domowych, widzimy, że Stanisław Stadnicki w roku 1608 marszałkuje trybunałowi koronnemu, w następnym roku sejm naznacza go komisarzem do uregulowania granic Rzeczypospolitéj od Węgier. Gdy pojawił się Dymitr, zwany Samozwańcem, Stanisław z bratem popierał jego stronę, wtedy w niewoli wiele wycierpiał i pod Smoleńskiem 1611 roku, wspierając króla Zygmunta III, złamany trudami wojennemi, życie zakończył. Dwa razy ponawiał związki małżeńskie: w roku 1604 poślubił Jadwigę z Szleszowic Fredrównę, która go w parę lat odumarła. Po żałobie pojął powtórnie młodą i piękną Helenę z Obór Leśniowolską, któréj potrafił zjednać sobie miłość i gorące przywiązanie. Zaledwo wspaniałe gody weselne odbył, gdy wyruszył na wyprawę północną. Rzewnemi łzami opłaciła ją młoda małżonka, a jakaż nieogarnęła ją trwoga i rozpacz, gdy otrzymała wiadomość o niewoli męża. Wrócił do domu ranny i schorzały; pod jéj czułą opieką prędko przyszedł do zdrowia; ale zaledwie poczuł odzyskane siły, gdy na wezwanie króla rozwija swą chorągiew i spieszy pod mury Smoleńska.

Chwilę téj rozłąki malowniczo i rzewnie opisuje młoda kasztelanowa w liście, który posłała mężowi do obozu Zygmunta III List ten, podług jéj autografu z pomienionego wyżéj rękopisma, podajemy, zmieniając tylko pisownią dawniejszą na dzisiejszą:

„Wdzięcznie czasy wesołéj wiosny nastawają,
Wody z gór pędem bieżą, śniegi mroźne tają,
Lody umarzłe zeszły, słońce z wierzchu grzeje,
Rzeki szumią, z nich każda równo z brzegi leje.
Śmieją się wszystkie pola: drzewa się okryły
W list zielony, przynosząc podróżnym cień miły;
Ptastwo krzyczy po lesie, cieple lato wita,
Wdzięczny słowik do gniazda starego się pyta!
Ja sama lata nie znam, ani wiosny czuję,
Ani w ptasiém śpiewaniu uciechy znajduję,
Ale łzami napawam gmach mój nie nadany,
Czego mi świadkiem późny wieczór i świt rany. —
Nie zmyśli nikt wesela, gdzie w sercu żal srogi,
Tak ja, śmiechów i żartów bez ciebie mój drogi!
Z tobą wszystkie pociechy moje i radości,
Miły mój, odjechały, i żyję w żałości!
Nazbyt srogi miał umysł i wzrok niełaskawy
Przeciw mdłéj płci niewieściéj, co nalazł bój krwawy,
I strzelbę piorunową i stalone groty.
Godzień był paść najpierwéj, mistrzem swéj roboty,
Godzien był okowany być wiecznemi pęty,
Który pierwszy krwią ludzką zgwałcił związek święty
Zgody nierozerwanéj, wzgardziwszy pokojem,
A śmiał się o to kusić przez gwałt ciężkim bojem!
Precz jedziesz i uciekasz jako ptak z rąk moich,
A serca i wspaniałych myśli niskąd swoich
Miłość uczuć nie może, i łzy twéj niebogiéj,
Nad którąby snać zażył litości zwierz srogi!
Biadaż mnie! Jaka była natenczas zabawa,
Jaka pociecha moja, albo i postawa,
Kiedyś kazał gotować w drogę dzielne konie,
Albo patrząc, gdy nieśli puklerze i bronie
I szyszaki złocone do woza i zbroje
I strzelbę rozmaitą i namioty twoje
A tyś k'temu przyspieszał, bo dzień naznaczony
Przychodził, gdy miał w cudze już odjechać strony.
Już się była muzyka wojenna ozwała,
Już piechota, już świetna jezda wychadzała,
Gdyś mię, pamiętam, wdzięczną ręką przytulając,
Z płaczem rzekł: „Bóg cię chowaj!" ostatnie żegnając.
Jam przemówić nie mogła przed żalem, myśl za mię
Rzekła: „Jedź zdrów mój drogi, a chciéj pomnieć na mię."
Między tysiącem mężów byłeś pozorniejszy,
Jako między swoimi Hektor najmężniejszy:
A jeśli się nie mylę, dobrzem li widziała,
Gdyś się na mię oglądał, zawszem cię poznała!
Nie inaczéj Tatarzyn szkodzi, uciekając.
Strzałą swoją, jakoś ty wtenczas odjeżdżając,
Nieubłaganym wzrokiem zranił serce moje! *)
A już było zginęło z oczu wojsko twoje,
I widać nic nad samą kurzawę nie było,
Którą gęste kopyto końskie pobudziło,
Gdy się mój smutek począł, gdy z wielkiéj tęschnice
Na poły martwą z ziemi wzięły służebnice!
O! żalu! o przeciwne szczęście myśli mojéj,
Prędkoś wzięło, coś było dało z łaski swojéj.
Ciebie wżdy nie wiem czemu, ani płacz serdeczny,
Ani moje wzdychanie i frasunek wieczny,
Zawściągnąć miły nie mógł, ażebyś chciał zostać,
Żadna prośba nie mogła twojéj miléj sprostać!
Odbiegłeś i ojczyzny i mnie swéj niebogi,
Sławie g'woli, którą wy macie za skarb drogi!
Często mi się przeciwne szczęście wydzierało,
Często na niebezpieczne harce narażało,
I zawszem się lękała! Jeśli chcesz statecznie
Gry okrutnéj Bellony naśladować wiecznie,
Niechaj mi wolno będzie przypiąć broń do boku,
Ja przy tobie żadnemu nie ustąpię kroku,
Żaden znój, żadne zimno, żaden strach w potrzebie,
Nigdy nie będzie mógł mię ustraszyć od ciebie!
A jeślibym się na co więcéj nie przydała,
Przynajmniéj lepiéj niż kto łoże będę słała.
Wszakże, jeśli sam tylko szczęścia chcesz spróbować,
Z daleka krwawe bitwy bez mię odprawować,
Strzeż się przecie, bo szczęście stateczne nikomu
Nie służy, a wracaj się co prędzéj do domu."

---

*) Tatarzy w ucieczce swéj najstraszniejszymi byli dla rycerstwa naszego. Zwinni i obrotni, uchodząc, z celnych łuków najwięcéj szkodzili nacierającym. Starzy wojownicy przestrzegali młodzież: „nie straszny Tatarzyn w boju, gdy piersią uderza (mówili), ale straszny wtedy, gdy ucieka."




**Walka byków w Hiszpanii.**

Smutne przeczucia wkrótce się sprawdziło! Kasztelan nie w bitwie, ale w namiocie swoim z wycieńczenia sił umarł. Młoda wdowa jedyną pociechę miała z jedynaka syna Jana Adama, który zarówno rysami twarzy. jak i postacią całą zgasłego przypominał męża. W kilka lat późniéj oddała swą rękę Mikołajowi Kiszce. Żadnych więcéj utworów naszéj poetki nie znamy, lubo niepodobna przypuścić. ażeby władająca tak umiejętnie piórem, jeden tylko ten wiersz napisała. Badania późniejsze zapewne odkryją więcéj z jéj prac poetycznych, które, zważając na czas, w którym pisała, są wysokiéj artystycznéj wartości.

K. Wł. Wóycicki.

# Srogi syn.

(Z podania ludu).



Srogi syn do ojca mówił tak,
Do staruszka ojca, mówił tak:
„Ruszaj stary! Ruszaj sobie w świat!
„Mnie samemu z żoną chleba brak,
„Nie wie człek, co jutro będzie jadł, —
„Ruszaj stary! Ruszaj sobie w świat!

„Darmo jesz, a nie pomagasz nam,
„W żadnéj pracy nie pomagasz nam,
„Idź na dziady, boś już stary dziad!
„Dam ci torbę, kij i płachtę dam,
„Będziesz żebrał, albo będziesz kradł. —
„Idź na dziady, boś już stary dziad!“

Starzec kij i pustą torbę wziął,
Ze łzą w oku starą płachtę wziął.
„Bądź zdrów synu! Pomnij, żeś mój kat!
„Nie będę ja smutnéj doli klął,
„Pójdę żebrać mimo starych lat, —
„Ale pomnij synu, żeś mój kat.

„Biorę torbę, chociaż pusto w niéj,
„Choć jak w sercu twojém pusto w niéj.
„Biorę kij, podeprę nim się rad,
„Gdy mi syn odmawia ręki swéj,
„A na płachcie spać się będę kładł,
„Gdy mi syn w swéj chacie nie jest rad.“

Jęknął starzec i ku drzwiom się wlókł,
A po za nim płachty kraj się wlókł.
W tém niemowlę, wnuk, co w kącie siadł,
Zaszczebiotał — bo cud zdziałał Bóg:
„Zostań złoty dziadziu! Czemuś zbladł?“
Mówił wnuczek, co w kąciku siadł.

„Dziadziu, stój! Ojciec ci płachtę dał,
„Lecz ci płachtę za przestronną dał.
„Ojcze! patrz: oto się wlecze płat!
„Utnij go! Gdy kiedyś będę miał
„Wygnać cię, jak ty dziadunia, w świat, —
„Dam ci kij i torbę — i ten płat!“

Srogi syn uczuł w tém Bożą dłoń,
Skruszył się, uczuwszy Bożą dłoń.
Cały w łzach, do nóg dziadunia padł:
„Ojcze mój!“ — i w prochu tarzał skroń.
„Przebacz mi! Nie rzucaj naszych chat!
„Wielki cud na mnie grzesznego padł!“

Dziadek dłoń ku niebu drżącą wzniósł,
Błogosławiąc, dłoń ku niebu wzniósł...
Szeptał coś, jak z wiatrem lilii kwiat......
Został z synem. Wnuczek zdrowo rósł,
Przezeń Bóg do późnych, późnych lat —
W chacie téj zachował szczęścia kwiat.

Berlin, 16 stycznia 1870 r.

Wacław Pomian.

# Walka byków w Hiszpanii.

(Z ryciną.)

Hiszpanie, jak w ogóle południowe narody, lubią nadzwyczaj okazałe uroczystości, publiczne zabawy i igrzyska. Do najpowszechniejszych i kilkowiekowym zwyczajem uświęconych zabaw Hiszpanów należą walki byków. Hiszpanie, zdaje się, nie mogą żyć bez tych igrzysk publicznych, gdziekolwiek bowiem się tylko osiedlili, wszędzie walki byków przeszły w zwyczaj. jak w Południowéj Ameryce, w Meksyku. W każdym większym mieście, w miastach prowincyonalnych, mianowicie w dni uroczyste odbywają się te igrzyska, a w Andaluzyi urządza je prawie każda wieś. W większych miastach są w tym celu urządzone osobne place tak zwane placa de toros, na których wznosi się w amfiteatrze coliseo de les toreros, cyrk, w którym walczący występują w zapasy z bykami. Największe cyrki znajdują się w Madrycie, w Xeres de la Trontera i w Walencyi.

Ludzie, którzy urządzają te igrzyska, stanowią w Hiszpanii osobną kastę. Są to ludzie lekkiego umysłu, ciągnąc od miasta do miasta, pędzą życia z dnia na dzień, co zarobią, to przehulają, wszystek grosz nieraz niebezpiecznemi ranami a i krwią zapracowany trwonią śród rozpusty, zanim zwykle nędza nie położy końca ich żywotowi.

Toreadores, tak się zowią występujący na arenie w walce z bykami, urządzają wspomniane igrzyska z wielką okazałością, która ściąga mnóstwo ciekawego pospólstwa. Do cyrku wjeżdzają oni na koniach, przybrani w dawne stroje hiszpańskie, z włoczniami w ręku. Za danym znakiem wypuszczają na arenę, na około któréj siedzi tysiące widzów, byka. którego z początku drażnią jeźdzcy pikami, kłując go pod łopatki. Gdy zwierzę podrażnione zaczyna się rzucać po arenie, jeździec ratuje się ucieczką z niebezpieczeństwa. Wtedy przystępują tak zwani chulos i zabiegając rozpędzonemu bykowi drogę, zarzucają mu płachtę na oczy i starają się przyczepić do jego skóry lancę na dwie stopy długą, owitą w łatwo dającą się zapalić materyę, śród któréj znajduje się fosfor pomięszany z innemi chemicznemi pierwiastkami wydającemi z siebie ogień za lada potarciem. Jeżeli im się uda lancę tę zaczepić i materya się ogniem zajmie, buhaj doprowadzony do wściekłości,

rzuca się rozbestwiony po całym cyrku i nieraz dopędziwszy jakiego toreadora powala go o ziemię i gotuje mu śmierć niechybną. W podobnym przypadku biegną inni na pomoc swemu towarzyszowi i starają się bydlę rozwścieklone oderwać od swéj ofiary. Jeżeli buhaj znużony ciągłém pasowaniem się i uganianiem spocznie na chwilkę, wtedy przystępuje do niego jeden z zapaśników — zowiący się cachetero, i zadaje mu cios śmiertelny ostrym puginałem. Na większych igrzyskach ginie w ten sposób 8-10 byków, zanim lud zaciekawiony nie znuży się temi zapasami, w których często niejeden człowiek życie utraca.

Najdawniejsze wzmianki o walkach byków sięgają XI wieku. Kronikarze hiszpańscy przytaczają Cyda między tymi, którzy pozyskali głośną sławę na tychże igrzyskach. Cesarz Karól V miał w nich osobiście brać udział. Atoli w dawniejszych czasach służyły one wyłącznie ku zabawie szlachty i dworu królewskiego, ludowi zaś dozwalano tylko z łaski się przypatrywać. Póżniéj szlachta przestała je urządzać i wyrobiła się osobna klasa ludzi, którzy w tém szukali zarobku.

*

## Kartki z podróży po Georgii.

Tyflis. (Przez J. Grz...)

Wjeżdżając poraz pierwszy do Tyflisu ze strony północnéj lub północno-zachodniéj, to jest traktem Imeretyńskim od Mechety, mniemiałbyś że widzisz przed sobą jedno z drugorzędnych miast europejskich: Marsylię, Strasburg, albo nawet Warszawę w muniaturze. Ulice równe, szerokie, wysadzone drzewami i przecinające się wzajemnie pod kątem prostym; czystość i schludność prawdziwie wzorowa — ani odrobiny pyłku i śmiecia; domy i kamienice wyciągnięte sznurem i wykrygowane, wystrojone, mizdrzą się do siebie, jak zalotnice na balu. Tu spostrzegasz milutki, jednopiętrowy, w guście szwajcarskim zbudowany domek z lekką wysmukłą faciatą; tam wspaniały, rozkoszny, dwupiętrowy pałac, otoczony koryncką kolumnadą z wystającą na zewnątrz oszkloną galeryą; tędy ciągnie się długi, kilkopiętrowy zbożowy magazyn, czy szpital wojskowy; tamtędy bieży kilka, kilkanaście kamieniczek wybielonych, wysmukanych, a wciąż gwarnych i zapełnionych tłoczącym się ludem: to sklepy i kramiki z tańszemi i codziennego użycia towarami. Posuwając się daléj — złudzenie coraz to rośnie: domy więcéj zbliżone do siebie, kamienice, dotychczas pojedyńczo rozrzucone, zlewają się w jednę masę i przybierają kształt jednolitego muru z jednéj i drugiéj strony. Magazyny i sklepy wykwintniejsze; towary z ich okien wyglądające świadczą o potrzebach i guście Europejczyka, a szyldy i napisy na nich w języku niemieckim i francuzkim; o uszy twoje obijają się dźwięki mowy włoskiéj, francuzkiéj, niemieckiéj, polskiéj, rosyjskiéj, greckiéj i t. d.; wspaniałe ekwipaże i karety, karjolki i dorożki krzyżują się w różnych kierunkach.

Lecz ujechawszy kroków kilkanaście, oglądasz się i oczom swoim nie uwierzysz: sam nie wiesz, gdzie jesteś. Pomiędzy masą mężczyzn w cylindrach i paletotach przemykają się, jak cienie, jakieś istoty w kołpakach i długich z ogonami płaszczach, mantylach; na równi z kobietą w krynolinie i kapelusiku wlecze się jakieś zakwefione i opięte straszydło. Otóż nareszcie i środkowy punkt téj części miasta — plac namiestnikowski. Z jednéj strony w głębi widać przepyszny dwupiętrowy pałac W. Księcia, z powiewającym na nim sztandarem carskim i ze strzegącemi go w wejściu cerberami, olbrzymiego wzrostu wąsatymi dragonami; z drugiéj — vis-à-vis — strażnica miejska, zapchana cisnącém się żołdactwem i z paszczy swojéj pokazująca stosy najeżonych bagnetów i spis. Nieco opodal odsunęło się, jakby unikając tak niemiłego sąsiedztwa, kilkanaście magazynów i sklepów; a bogate to i nęcące do siebie przechodnia magazyny: tu widać z okien błyszczące stalowe wyroby angielskie, tam holenderskie płótna i lionskie muśliny; ztąd wyglądają kolumny południowych owoców i przysmaków, ztamtąd bogate perskie materye i kaszemirskie szale. Księgarnie, hotele i domy możniejszych urzędników i kupców zapełniają przestrzeń między temi magazynami i okalają ze wszech stron plac namiestnikowski. Arystokracya krajowa zamieszkuje przedmiejskie wille, lub odleglejsze place i ulice. Po rogach placu i zakrętach ulic stoją na straży rozmaite bióra urzędnicze: główna izba sądowa, sąd okręgowy, rząd gubernialny, główny sztab konsystujących wojsk itd.

Lecz jeśli ogólny widok tych ulic i placu przybiera pozór miasta europejskiego, to fizyognomia jego ludności zupełnie nie daje żadnego wyobrażenia o jakości jego, albo daje całkiem odrębne i oryginalne. Niewiadomo, czy to obraz wojenny, czy przybytek handlu i biurokracyi; czy to Azya, czy Europa. Tu przeciągają w milczeniu patrole piechoty, truchtem zdąża za nią kawalerya, galopują na lekkich rumakach Czarnomorcy, skaczą na swych kabardynach Czerkiesi; tam spieszy przebiegły Grek lub Włoch — negociant, tędy leniwy i znudzony miejski elegant, a ztamtąd, patrz, kroczy poważny i zadumany Pers, owinięty swoim płaszczem ceglastego lub czarnego koloru z naciśniętym na głowę wysokim kołpakiem w guście tym, jaki zwykle noszą archimandryci greccy: za nim — odwieczny i nieprzebłagany wróg jego — Turek w zawoju na głowie i z cybuchem w ustach; z boku z szyderstwem i nienawiścią, wymierzoną ku dwom swoim ciemiężcom, sunie ponury Gwebr, czciciel ognia; a tam daléj — z miną wesołą i podkpiwającą, potężnéj tuszy Ormianin w kontuszu jedwabnym z wylotami i szerokich hajdawerach; tuż obok niego ciekawy Georgianin z ręką opartą na kindżale, w żupanie kolorowym z napiętą burką, z miną buńczuczną, zagląda ci w oczy; a jeszcze daléj, stroniąc od nich wszystkich, spieszy zakwefiona Georgianka w kontusiku albo z napiętém białém prześcieradłem, jak cień Hamleta, ormiańska dewotka. Brzęk szabel, bagnetów, kindżałów; szelest jedwabnych kontuszów, sukien, płaszczów, żupanów; mięszanina najróżnorodniejszych dźwięków indogermańskiéj i semityckiéj mowy — wszystko to zlewa się w jakiś chaos niezrozumiały, w szmer podobny do brzęku pszczół w ulu, do szumu liści w lesie.

Kibitka nasza zwróciła się na lewo i wtoczyła się w jednę z ulic placu namiestnictwa. Hotel Europejski przyjął nas w swoje objęcia.

Zmuszeni czas przydłuższy zabawić w Tyflisie, a wiedząc, że nadzwyczajna drożyzna miast wielkich, a tém bardziéj azyatyckich, gdzie wymagania i potrzeby Europejczyka całkiem są zapoznane, nie sprzyja życiu hotelowemu, postanowiliśmy wyszukać stósowne pomieszkanie i stół. W tym celu, rzuciwszy suknie podróżne, a przywdziawszy miejskie, wyruszyliśmy każden w inną stronę: ja udałem się do części miasta tak zwanéj europejskiéj, Sarkiz — azyatyckiéj; rendez-vous naznaczyliśmy w naszym hotelu, w sali zbiorowéj, o 4 godzinie po południu.

Był dzień pogodny. Słońce już się wzniosło wysoko nad horyzont i dosięgało zenitu, szląc ziemi coraz cieplejsze i palące promienie swoje. Z ulic i uliczek, wiodących do namiestnictwa, niby z pomniejszych ścieków do głównego rezerwoaru płyną fale ludu. Dzieci, starcy, mężczyzni, kobiety — zadyszeni biegną, potrą-

cają siebie wzajemnie; z ciekawością na twarzy, z rozrzuconym włosem, z powiewającą suknią cisną się, tłoczą i zdają się jakąś niewidzialną siłą popychani w jednym kierunku. A na ulicy głównéj — Pocztowéj zgiełk wzrasta, wrzawa niesłychana, hałas i krzyk, szepty i wołania rosną, dochodzą do olbrzymich rozmiarów i zlewają się w stugębną niezrozumiałą mowę. Co to jest? Czy może święto lub uroczystość narodowa? Nie to w. ks. Michał z orszakiem swoim wyjeżdża na spacer. Ciekawy lud chciałby go oglądać; bo i czemuż nie zobaczyć dziwoląga, a wreszcie jest okazya zebrać się razem i popatrzeć na siebie, a lud tak chwyta każdą sposobność do zebrania się i oglądania siebie wzajemnie: miło mu spojrzeć na tak wielką i silną masę!

(Dalszy ciąg nastąpi).

# ROZMAITOŚCI.

Komitet zawiązany celem wybudowania gmachu teatralnego dla stałéj sceny polskiéj w Poznaniu wydał następujące dwie odezwy:

Do rodaków pod panowaniem austryackiém.

Uważając scenę narodową za jednę z najgłówniejszych dźwigni utrzymania życia polskiego w Poznańskiém, życia zagrożonego zalewem sąsiedniego pierwiastku, jeśli mu się wcześnie a gorliwie nie przyjdzie w pomoc, zawiązali się niżéj podpisani w komitet, który sobie wziął za zadanie zebrać potrzebne fundusze na wzniesienie gmachu teatralnego w Poznaniu.

W przekonaniu, ziomkowie galicyjscy, że porówno z nami pojmujecie doniosłość podjętego przez nas dzieła i że razem z nami uznajecie w niém przedsięwzięcie nie miejscowego, nie prowincyonalnego, ale narodowego prawdziwie znaczenia, odwołujemy się, otwierając składki na zbudowanie teatralnego gmachu w Poznaniu, i do Waszéj ofiarności i gotowości patryotycznéj.

Jesteśmy silnie przeświadczeni, że zaufanie, jakie w Was pokładamy, nie dozna zawodu. Posłuszni i uważni na każdy głos narodowego wezwania, z Waszych stron nas dochodzący, jesteśmy aż nazbyt pewni, iż i nasze wołanie sympatyczny w sercach Waszych znajdzie oddźwięk. Raczcie tedy spieszyć z Waszemi ofiarami według sił i możności ku poparciu tak ważnego, ale trudnego i mozolnego dzieła, jakie podjąć uważaliśmy za rzecz obowiązkowości obywatelskiéj.

Redakcye pism galicyjskich pozwalamy sobie prosić zarazem uprzejmie, aby niniejszą odezwę naszą powtórzyć i w biurach swych składki na tenże cel otworzyć zechciały.

(Następują podpisy).

Poznań, dnia 21 stycznia r. 1870.

## Kalendarz historyczny polski.

Dnia 5 lutego: 1189. Synod w Krakowie.

Dnia 6 lutego: 1296. Zabicie w Rogoźnie Przemysława. 1582. Polacy ustępują z Pskowa. — 1633. Koronacya Władysława IV. — 1831. Manifest Mikołaja z powodu detronizacyi.

Dnia 7 lutego: 1580. Stefan Batory zaprowadza cenzurę na dzieła historyczne. — 1707. Zjazd w Lwowie ogłasza za nieważną abdykacyą Augusta II.

Dnia 8 lutego: 1576. Stefan Batory zaprzysięga pacta conventa. — 1813. Śmierć Tadeusza Czackiego. — 1831. Sejm tworzy ustawę konstytucyjną.

Dnia 9 lutego: 1135. Zrabowanie Wiślicy przez Rusinów — 1454. Zaślubiny Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą Austryacką. — 1649. Bitwa z Kozakami pod Mozyrem.

Dnia 10 lutego: 1404. Krzyżacy wpadają do Litwy. — 1564. Pożar Częstochowy. — 1640. Sejm waruje przywileje szlacheckie. — 1792. Śmierć Andrzeja Zamojskiego.

Dnia 11 lutego: 1579. Wjazd do Grodna Stefana Batorego. — 1646. Uroczysty wjazd do Gdańska królowéj Ludwiki.

### Wiadomości o nowych książkach.

Callier. Encyklopedya imion własnych, zeszyt I 10 sgr.
Dwernickiego J. generała pamiętniki, 8°, 156 str. 1 tal.
Kraszewski. W mętnéj wodzie. Obrazki współczesne, 8°, 334 str. 1 tal. 10 sgr.
Łyskowski M. Przewodnik dla spółek pożyczkowych, 8°, 114 str. 10 sgr.
Szulc Fryderyk. Polska w roku 1773. Drezno, J. I. Kraszewski, 8°, 380 str. 1 tal. 10 sgr.



### Zadanie konikowe.

| | 1. | 2. | 3. | 4. | 5. | 6. | 7. | 8. |
|---|---|---|---|---|---|---|---|---|
| A. | i | n | a | a | t | e | n | l |
| B. | l | z | s | g | i | b | ą | t |
| C. | i | o | i | e | a | a | i | o |
| D. | o | e | k | ł | g | p | s | k |
| E. | u | a | m | n | z | j | r | ż |
| F. | t | e | d | m | u | o | t | e |
| G. | t | l | e | i | n | o | n | t |
| H. | n | z | e | d | i | s | j | o |

### Szarada.

Pierwsze i czwarte ptaszek skrzydłami
Zwinniéj jak tancerz wywodzi.
Drugie i czwarte — w domach nocami
Na zdobycz żywą cichaczem godzi.
Trzecie zaś z piątém na świecie całym
Pięknie lub szpetnie z ust ludzkich płynie.
Całość: poczwara co z piekieł szałem
Czarne lub mgliste miotając tchnienie,
Z piersią, co żywi ogniste żary,
Pędzi na kołach w dalekie obszary.

(Rozwiązanie Zadania komikowego w nr. 5, rozpoczy na D, 7:

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto Go szuka tylko w niebie).

(Rozwiązanie szarady w nr. 5: ***Rejtan***).

### Korespondencya Redakcyi.

Panu R. Ziem. w Pleszewie: Dziękujemy. — Panom Urb. w Borku; Koń. w Kostrz.: Spoźnione. — Panu K. Kaw. w Krotoszynie: Nigdy.

… w Poznaniu. Nakładem Księgarni M. Leitgebra i Sp. (M. Leitgeber i St. Tułodziecki) w Poznaniu.